

BYŁEM WIĘZNIEM RADOMSKIEGO GESTAPO

Zostałem aresztowany przez Gestapo z Radomia w dniu 15.III. 1944 roku w Skarżysku Kamiennej. Wraz ze mną zostało aresztowanych siedmiu moich znajomych, między nimi mój brat stryjeczny. Zabrano z nami gotową amunicję, proch i łuski oraz przyrząd do nabijania amunicji, robiony przeze mnie. Zostaliśmy wpędzeni do samochodu i leżących na podłodze samochodu zawieźli nas do Radomia. Zawieźli nas na ul. Kosciuszki, gdzie we dwóch zanieśliśmy tę amunicję na drugie piętro i z powrotem zawieźli nas do więzienia. Osadzono nas w sali zbiorczej, gdzie siedziało około 12 aresztowanych; ale poprzedniego dnia zabrano 10 jako zakładników; dalsze losy ich nieznane; siedzieliśmy całą noc. Rano, gdy się rozwidniało, odczytaliśmy kilka nazwisk i słów wypisanych na ścianach: z tej celi już się nie wraca. Jednak rano pojedynczo przerzucano nas na inne cele. Pobyt mój na celi był tragiczny: 11 razy byłem na przesłuchaniu bity do nieprzytomności, ale nic im to nie dało. Przy każdej wizytacji celi przez naczelnika więzienia sadysty Kocha musiałem być pobity. Nie wiem dlaczego mnie i jednego Francuza wybrał sobie wykończyć, ale przetrwałem aż nadszedł dzień, kiedy to rano o świcie 16 lub 17 maja, nie pamiętam dokładnie, wpadł na celę naczelnik Koch z listą i wyczytał jedenastu, między innymi i mnie. Na korytarz! Padać na ziemię! Później na dziedzińcu skrępowali drutami kolczastymi ręce i do samochodu. Zawieźli nas na dworzec kolejowy i zaczęła się tragedia. Do wagonów wpędzono nas psami, gwałt, krzyk był nie do opisania. Transport liczył około 400 lub 500 ludzi, dokładnie nie pamiętam. Wieźli nas bez jedzenia i bez wody. W naszym wagonie wykończyło się 4 więźniów zanim dojechaliśmy do Gross-Rosen. Nazwisk ich nie pamiętam, wiem tylko, że byli z Radomia. Do Gross-Rosen przyjechaliśmy rano dnia 20 lub 21 maja. Od dworca szliśmy pieszo do bramy obozu śmierci. Po wejściu za bramę - na plac zbiorczy i tam rozbiórka do naga, podejście do stołów esesmanów, wpisanie numerów /mój nr 36040/ i do umywalni; tam golenie, ale wszędzie, nawet brwi, później dezynfekcja i pod wodę gorącą i zimną poganiani przez "kapów". Ubrali nas w ubrania po Żydach i na bloki. Dano mnie na blok 18. Był tam "kapo" Iwan - Rosjanin, sadysta nieprzeciętny; wykończył swoich rodaków, z 1500 przywiezionych do Gross-Rosen zostało kilku, miał metodę odbijania nerek przez kopanie; mało mnie nie wykończył w ubikacji. Na drugi dzień podczas apelu wyczytano wszystkich moich znajomych prócz mnie i wysłano do filii Gross-Rosen w kierunku Berlina. Ja zostałem sam bez żadnego znajomego. Nie pamiętam, którego dnia spędzili nas do jednego bloku za drutami wszystkich nowych na kwarantannę. Blok był ogrodzony drutami, żeby nie mieli dojścia więźniowie, którzy już to przechodzili. Tak siedzieliśmy przez cały tydzień bez wody na suchym chlebie i margarynie po kostce na jeden łyk. Jednak więźniowie z innych bloków trochę nas ratowali i dostarczaali choć parę kropli wody. Po skończeniu tej kwarantanny wyczytano mnie rano do kamieniołomów do noszenia kamieni. Szczęście miałem, że nie trwało to długo, ponad tydzień, kiedy to rano przeniósł mnie blokowy z 18 bloku na 2 blok. Ale co widziałem przy tej pracy w kamieniołomach to jest nie do opisania; normalnie zostawało tam po siedmiu lub więcej dziennie spychanych w dół. Gdybym tam

chodził dalej, nie wytrzymałbym długo i spotkało by mnie to samo. Zaraz następnego dnia zostałem wysłany z trzema więźniami przez blokowego do zrzucania koksu i węgla przy piecach krematoryjnych. Miałem możliwość widzieć to co tam się działo. Trudno było w to uwierzyć, ale i tam zostaliśmy pobici, gdyż nas było 4, a przyczep na 12. Już opadliśmy z sił, a "kapo" nas gonił, aż w końcu zaczął tak bić, żeśmy popadali. Gdyby nie przyszedł blokowy, wykończyłby nas. Wysłał go na blok i przyszło 8 więźniów; nas zabrał na blok; nie pamiętam nazwiska tego "kapo". Po upływie kilku dni zostałem rano wysłany do pracy w kuchni wynosić kotły na korytarze, skąd zabierali je więźniowie i zanosili na bloki; później mycie kotłów; w międzyczasie obieranie kartofli dla esesmanów. Nie trwało to długo, może około tygodnia, kiedy to wpada blokowy i odczytuje mój numer 36040. Zaprowadził mnie na "schreibstube" czyli do biura "Lagerführera". Tam zostałem poddany egzaminowi w zawodzie tokarza przez inżyniera cywilnego Czecha, który przyjechał z Reichenau po tokarza. Miałem zawód wpisany w kartotece jako tokarz, kiedy mnie aresztowali pracowałem u nich w firmie Hasag, przed wojną Fabryka Amunicji w Skarżysku-Kamiennej jako tokarz. Ten zawód może mnie uratował od śmierci; przekonałem się o tym w pracy w Reichenau jako tokarz. Opis dotyczył bardzo krótko pobytu w Gross-Rosen, ale chcąc opisać szczegółowo musiałbym zapisać cały brulion. Z Gross-Rosen zabrano nas dwóch, mnie i Francuza, na samochód. Przyjechaliśmy do Reichenau w godzinach popołudniowych witani od razu w bramie wejściowej gumami, taki był zwyczaj, tak witano wszystkich, którzy przechodzili tę bramę. Po wejściu na blok numer 1, blokowy kazał się rozebrać z tych pasiaków, zdjąć buty i skarpety, a dał nam pasiaki cienkie papierowe i bez skarpet buty trepy "wyrzynane"; ja się trochę oparłem i nie chciałem oddać tego; do dziś mam ślady na twarzy i czole tak mnie zmasakrował; ale i to się wytrzymało. Do Reichenau przyjechałem w pierwszej połowie lipca; przez dwa dni woziłem z więźniami darnie taczkami; trzeciego dnia zaprowadzili mnie razem z więźniami do Fabryki poza druty, tam po zrobieniu 10 szt. próbnych sworzni czterostopniowych bardzo dokładnych, sprawdzonych przez kontrolę - zostałem wpisany do dziennika u mistrza jako tokarz i pracowałem do końca. Nie będę opisywał szczegółów, ale wyszczególnię najważniejsze. Zachorowałem na krwawą dezenterię po zjedzeniu sałatki ze ślimaków. Byłem formalnie wykończony, koledzy prowadzili mnie pod rękę na zakład; na rewir nie chciałem iść, gdyż tam czekała mnie śmierć nieunikniona, wolałem paść przy tokarni. Dużo pomogli mi w czasie tej choroby najbliżsi przyjaciele Jan Kosiński z Lublina i Józef Skrobot z Suchedniowa. Ta choroba na żołądek odbiła się poważnie na moim zdrowiu; do dziś "szwankuje" mi żołądek. Każdy dzień miał jakieś niespodzianki grożące śmiercią. Właśnie to się sprawdziło, co nadmieniłem poprzednio, że zawód tokarza uratował mnie od różnych sportów: padnij, czołgaj się itd. - po dwie godziny a od innych ciężkich prac, a były one przy budowie zakładu na terenie obozu. Ale i zawód mi czasami nie pomagał. Wbrew zakazowi dyrektora tego zakładu brano nas przed pracą lub po pracy, gdyż robiliśmy w zakładzie na dwie zmiany po dziesięć godz., do różnych robót przy budowie budynku, jak noszenie kamieni spoza drutów na ramionach do budowy i do innych robót. Miałem przejście z "kapo" z 1 bloku, powybijał mi kilka zębów i szczękę za to, że zostałem zwolniony przez mistrza na blok, na opuchnięcie twarzy od zębów. Ale nie przeszło mi to gładko, gdyż na drugi dzień rano przy apelu "Lagerführer" odczytał mój numer 36040 - występ - i przez tłumacza pyta

jak się to stało, że zostałem tak pobity przez "kapo". Opowiedziałem mu, "kapo" został skuty w kajdanki i odwieziony do Gross-Rosen; ale ja dostałem jeden raz ręką od "Lagerführera" w ucho tak, że dwa tygodnie szumiało mi w głowie; myślę, że chyba za to, że musiał wysłać tego "kapo" do Gross-Rosen, gdyż był wzywany do dyrektora tego zakładu w mojej sprawie tego pobicia. Od tego czasu byłem przesładowany przez "Lagerführera", ale i to przetrzymałem.

Dowiedziałem się od blokowego z Gross-Rosen, który przyprowadził kilku więźniów do naszego obozu, że ci, co przyjechali razem ze mną moi koledzy do Gross-Rosen zostali ściągnięci z filii do Gross-Rosen i straceni, podobno około 17 lub 18 października, jeśli dobrze pamiętam Ich Nazwiska: Stanisław Łyżwa, Lucjan Rózik, Henryk Sadza, Józef Kowalik, Mieczysław Miernik mój brat styjeczny, Roman Bilski i Zaręba. Byliśmy razem aresztowani w dniu 15 marca 1944 roku; mieszkaliśmy w Skarżysku-Kamienna.

Ostatnie tygodnie przed wyzwoleniem przez wojska Rządzieckie było bardzo ciężko przeżyć, zapanował głód, nie pracowaliśmy nigdzie, aż przyszedł dzień 8 maja. Wyprowadzono nas około godz. 4 rano. Obstawieni przez "postów" i młodych ze sfastykami i inwalidów, wyprowadzeni byliśmy poza miasto. Za nami albo był to karabin maszynowy lub jakaś tankietka. Lagerführer, blokowi, Szrajber i Lagrowy /a było ich aż dwóch/ pojechali w innym kierunku. Nas prowadził zastępca "Lagerführera" i zaprowadzono nas do zagajnika poza miasto na stracenie. Kazano nam siadać, a między zastępcą "Lagerführera", dyrektorem tego zakładu a hitlerowcami z trupią główką trwała dyskusja dość długo, aż w końcu kazano nam wstać i odmaszerować z powrotem do obozu. Im możemy zawdzięczać, że żyjemy. Nie pamiętam nazwisk dyrektora zakładu i zastępcy "Lagerführera", ale ich nazwiska na pewno pamiętają młodszy więźniowie, a może już są wam znane. Około godz. 8 rano została ogłoszona przez zastępcę "Lagerführera" wolność.

Co się działo między więźniami, tego nie można opisać, to trzeba widzieć. Do żony i dzieci, a miałem ich dwoje, dwie córeczki, wróciłem 20 maja. Ale dzień 8 maja 1945 roku jest do tego czasu wielkim przeżyciem i świętem, że "Przeżyliśmy Gross-Rosen".

Nr archiwum 3.9.3.12.

ZA SPLNĚNÍ PROGRAMU XV. SJEZDU KSČ



Przekazanie tablicy pamiątkowej ku czci pomordowanych 610 więźniów różnej narodowości w obozie Reichenau. Tablica odlana z metalu została przywieziona z Polski we wrześniu 1978 roku.

Na zdjęciu od lewej Henryk Uchman z Warszawy, Bohumil Maděra - przewodniczący Miejskiego Narodnego Vyboru w Rychnov, Mieczysław Mołdawa z Warszawy, Henryk Król z Jeleniej Góry, Vaclav Dvorak - sekretarz Okręgowego Związku Bojowników Antyfaszystowskich w Jablonec n. Nysą i Józef Skrobot ze Skarżyska Kamiennej.

foto Jan Kosiński

Nr archiwum 3.9.1.13